

List Jana Sobieskiego po zwycięstwie pod Wiedniem

Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze – pisał Jan III Sobieski w liście do żony, Marii Kazimiery, po wygranej bitwie wiedeńskiej. Ten niezwykły list przypominamy w „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Jan III Sobieski. Rzeczpospolita zwycięska”.

W namiotach wezyrskich 13 IX 1683, w nocy.

Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza
Marysienku!

Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane dostały się w ręce nasze. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzji. Wielbłądy, muły, bydle, owce, które to miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą; drudzy zaś, osobliwie *des renegats*, na dobrych koniach i pięknie ubrani od nich tu do nas uciekają. Taka się to rzecz niepodobna stała, że dziś już między pospółstwem tu w mieście i u nas w obozie

była trwoga, rozumiejąc i nie mogąc sobie inaczej perswadować, jeno że nieprzyjaciel nazad się wróci, prochów samych i amunicji porzucił więcej niżeli na milion.

Widziałem też nocy przeszłej rzecz tę, którejm sobie zawsze widzieć pragnął. Kanalia nasza w kilku miejscach zapaliła tu prochy, które całe Sądny Dzień reprezentowały, bez szkody całej ludzkiej: pokazały na niebie, jako się obłoki rodzą. Ale to nieszczęście wielkie, bo pewnie na milion w nich uczyniło szkody. Wezyr tak uciekł od wszystkiego, że ledwo na jednym koniu i w jednej sukni. Jam zostałem jego sukcesorem, bo po wielkiej części wszystkie mi się po nim dostały splendory; a to tym trafunkiem, że będąc w obozie w samym przedzie i tuż za wezyrem postępując, sprzedał się jeden pokojowy jego i pokazał namioty jego, tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach.

Mam wszystkie znaki jego wezyrskie, które nad nim noszą; chorągiew mahometańską, którą mu dał cesarz jego na wojnę i którą dziś jeszcze posłałem do Rzymu Ojcu św. przez Talentego pocztą. Namioty, wozy wszystkie dostały roi się [...].

Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako więc tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy powracającym, „żeś ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił”, bo ten co zdobywa, w przedzie być musi. Mam i konia wezyrskiego ze wszystkim siedzeniem; i samego mocno dojeżdżano, ale się przecię salwował. Kihaję jego, tj. pierwszego człowieka po nim, zabito, i paszów niemało. Złotych szabel pełno po wojsku, i innych wojennych rynsztunków. Noc nam ostatka przeszkodziła i to, że uchodząc, okrutnie się bronią *et font la plus belle retirade du monde*. Janczarów swoich odbiegli w aproszach, których w

nocy wyścinano, bo to była taka hardość i pycha tych ludzi, że kiedy się jedni z nami bili w polu, drudzy szturmowali do miasta; jakoż mieli czym co począć. Ja ich rachuję, prócz Tatarów, na trzykroć sto tysięcy; drudzy tu rachują namiotów samych na trzykroć sto tysięcy i biorą proporcję trzech do jednego namiotu, co by to wynosiło niesłychaną liczbę. Ja jednak rachuję namiotów sto tysięcy najmniej, bo kilką obozów stali. Dwie nocy i dzień rozbierają ich, kto chce, już i z miasta wyszli ludzie, ale wiem, że i za tydzień tego nie rozbiorą.

Ludzi niewinnych tutecznych Austriaków, osobliwie białychgłów i ludzi siła porzucili; ale zabijali, kogokolwiek tylko mogli. Siła bardzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych i które żyć mogą. Wczora widziałem dzieciątko jedne we trzech leciech, chłopczyka bardzo najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę. Ale to trefna, że wezyr wziął tu był gdzieś w którymś ci cesarskim pałacu strusia żywego dziwnie ślicznego; tedy i tego, aby się nam w ręce nie dostał, kazał ściąć.

Co zaś za delicje miał przy swych namiotach, wypisać niepodobna. Miał łaźnie, miał ogródek i fontanny, króliki, koty; i nawet papuga była, ale że latała, nie mogliśmy jej pojmać. Dziś byłem w mieście, które by już było nie mogło trzymać dłużej nad pięć dni. Oko ludzkie nie widziało nigdy takich rzeczy, co to tam miny porobiły: z beluardów podmurowanych okrutnie wielkich i wysokich, porobiły skały straszliwe i tak je zrujnowali, że więcej trzymać nie mogły. Pałac cesarski wniwecz od kul zepsowany. Wojska wszystkie, które dobrze bardzo swoją czyniły powinność, przyznały P. Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciół począł uchodzić i dał się przełamać – bo mnie się przyszło z wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził, tak że już nasz środek albo

korpus, jako i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystkie swoje niemieckie posiłki do mnie obróciły – przybiegały tedy do mnie książęta, jako to elektor bawarski, Waldeck, ściskając mię za szyję a całując w gębę, generałowie zaś w ręce i w nogi; cóż dopiero żołnierze! Oficerowie i regimenty wszystkie kawalerii i infantem wołały: „Ach, unzer brave Kenik!” Słuchały mię tak, że nigdy tak nasi.

Cóż dopiero, i to dziś rano, książę lotaryński, saski (bo mi się z nimi wczora widzieć nie przyszło, bo byli na samym końcu lewego skrzydła, którym do p. marszałka nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi); cóż komendant Starembek tuteczny! Wszystko to całowało, obłapiało, swym Salwatorem zwało.

Byłem potem we dwóch kościołach. Sam lud wszystek pospolity całował mi ręce, nogi, suknie; drudzy się tylko dotykali, wołając: „Ach, niech tę rękę tak waleczną całujemy!” Chcieli byli wołać wszyscy „Vivat!”, ale to było znać po nich, że się bali oficerów i starszych swoich. Kupa jedna nie wytrzymała i zawołała: „Vivat!” pod strachem, na co widziałem, że krzywo patrzano; dlatego zjadłszy tylko obiad u komendanta, wyjechałem z miasta tu do obozu, a pospólstwo ręce wznosząc prowadziło mię aż do bramy.

Widzę, że i komendant krzywo tu patrzą na się z magistratem miejskim, bo kiedy mię witali, to ich nawet mi i nie prezentował. Książęta się zjechali i cesarz daje znać o sobie, że jest za milę; a ten list nie kończy się, aż terażniejszym rankiem, nie dają mi tedy dopisować i dłużej się cieszyć z Wcią sercem moim. Naszych niemało zginęło w tej potrzebie; osobliwie tych dwóch żal się Boże, o których już tam opowiedział Dupont.

Z wojsk cudzoziemskich książe de Croy zabity, brat postrzelony i kilku znacznych zabitych. Padre d'Aviano, który mię się nacałować nie mógł, powiada, że widział gołębicę białą nad wojskami się naszymi przelatującą. My dziś za nieprzyjacielem się ruszamy w Węgry. Elektorowie odstąpić mię nie chcą. To takie nad nami błogosławieństwo Boże, za co Mu niech będzie na wieki cześć, sława i chwała!

Kiedy już postrzegł wezyr, że wytrzymać nie może, zawołał synów do siebie, płakał jako dziecię. Potem rzekł do chana: „Ty mię ratuj, jeśli możesz!” Odpowiedział mu chan: „My znamy króla, nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy się salwować mogli”. Gorąca tu mamy tak srogie, że prawie nie żyjemy, tylko piciem. Teraz dopiero znaleziono okrutną jeszcze moc wozów z prochami i ołowiem; ja nie wiem, czym już oni będą strzelali. W ten moment dają nam znać, że ostatnie kilkanaście działek małych letkich porzucił nieprzyjaciel. Już tedy wsiadamy na koń ku węgierskiej stronie prosto za nieprzyjacielem, i jakom dawno wspominał, że się, da P. Bóg, w Stryju aż z sobą przywitamy; gdzie p. Wyszyński niech każe kończyć kominy i stare poprawować budynki. List ten najlepsza gazeta, z którego na cały świat kazać zrobić gazetę, napisawszy, *que c'est la lettre du Roi a la Reine*. Książęta saski i bawarski dali mi słowo i na kraj świata iść ze mną. Musimy iść dwie mili wielkim pośpiechem dla wielkich smrodów od trupów, koni, bydeł, wielbłądów. [...]

Cesarz już tu tylko o mil półtorej, płynie Dunajem; ale widzę, że się nieszczercze chce widzieć ze mną, dla swej podobno pompy, życzyłby zaś być sobie jako najprędzej w mieście *pour chanter* le „Te Deum” i

dlatego ja mu stąd ustępuję, mając sobie za największe szczęście ujść tych ceremonii, nad które niceśmy tu jeszcze nie doznali. [...]

Jużże tedy kończyć muszę, całując i ściskając ze wszystkiego serca i duszy najśliczniejszą moją Marysieńkę. A M. *le Marquis et a ma soeur mes baisemams*. Niech się wszyscy cieszą, a P. Bogu dziękują, że pogaństwu nie pozwolił pytać się: „A gdzie wasz Bóg?”. Dzieci całuję i obłapiam.

Jan III Sobieski